

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ, TOM
PIERWSZY

Józef Kraszewski
Stara baśń, tom pierwszy

«Public Domain»

Kraszewski J.

Stara baśń, tom pierwszy / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Том I	5
I	5
II	12
III	19
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Józef Ignacy Kraszewski

Stara baśń, tom pierwszy

Tom I

I

Poranek wiosenny świecił nad czarną lasów ławą otaczającą widnokrag dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwitych. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztką wiosennej powodzi złocily się łotocie¹ jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza – tylko ptastwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słyhać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę, popatrzało czarnymi oczyma i pierchnęło²... Zatętniało³ za nimi – cicho znowu.

Z drugiej strony słyhać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łoś rogaty – wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami – zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i z wolna poszedł w las nazad⁴... I znowu słyhać było łom⁵ gałęzi i ciężkie stąpanie.

Spod gęstych łóz⁶ zaświeciło oczów dwoje – wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy pierchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznac mogło szmer brzozy z listki⁷ młodymi, drzenie osiczy⁸ bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośnieją coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami jak dymy ofiarne zakipiały pary przejrzyste, ulatując z wolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głąbiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków – wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki – wracało życie.

¹ *łotoc* – rodzaj kaczeńca. [przypis redakcyjny]

² *pierchnęło* – dziś: pierchło; *pierchnąć* – uciec. [przypis edytorski]

³ *zatętniało* – dziś: zatętniło. [przypis edytorski]

⁴ *nazad* – z powrotem. [przypis redakcyjny]

⁵ *łom* – tu: łamanie. [przypis redakcyjny]

⁶ *łoz* – rodzaj krzewu z rodziny wierzbowatych; wierzba szara. [przypis redakcyjny]

⁷ *listki* – dziś popr. forma N. lm: listkami. [przypis edytorski]

⁸ *osiczyna* – gatunek drzewa, topola osika a. topola drżąca, której liście drżą przy najmniejszym podmuchu wiatru. [przypis edytorski]

W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocząc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi niby szafas naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż było wygasłe ognisko spopielające i kilka w nim niedopalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosiem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozdeły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię, jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szafasu pokazała się głowa cała włosami okryta długimi – zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem, rozgarniając je, wydobył się spod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długim leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się, popatrzał na niebo, potem na konie... te zobaczywszy go, z wolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie. Nic słyhać nie było prócz szumu lasu, śpiewu pastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło, tak że oczy wprost spod nich patrzyły. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się spod wąsów i brody – wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru, okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz⁹ i pętlę. Nogi miał też sukniem i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Spod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosiem okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szafasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami i wnet spod nich wypęzł chłopię, wydobyło się zza liści – zerwało rzeško na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami¹⁰, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić; gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

– Gerda, do koni! Słońce weszło...

Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkim potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzód napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię siedzące na jednym ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szafasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali¹¹ to poranna modlitwa?

Na ostatek konie napojone podniosły głowy i jak zadumane słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognął ku szafasowi. Tu już nagotowane¹² leżały sukniem i skórą poobwijane juki¹³,

⁹ *guz* (daw.) – guzik. [przypis edytorski]

¹⁰ *kułak* – pięść. [przypis redakcyjny]

¹¹ *byłali* – czasownik z partykułą -li; znaczenie: czy była, czyżby była. [przypis edytorski]

¹² *nagotowany* – tu: przygotowany. [przypis redakcyjny]

które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlaź jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na nim, rękami popróbowwał sakiew¹⁴ na grzbiecie powiązanych i konia swego pod kłodą poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny naprzeciw, rozgartując¹⁵ ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Zza gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach na pół podziwieniem otwartych.

Podróżny tymczasem ku słońcu spoglądał i na bieg rzeki.

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chceć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwe, obrócone na wschód łbami – starszy pomyślał trochę, oczyma łukę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębokość. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowąła – ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząską ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już – brzeg drugi... Oba podróżni¹⁶ wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem, wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż, za gęstwiną coś szeleściło dziwnie... – Zwierz spłoszony – myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór, jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieśgdzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. Na wzgórzu... coś bieląło nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry... Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie dokoła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst się dał słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwilo na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do bronii ma się brać, czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiała mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziąca na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując... A miotła się, jakby i ona groziła.

Konie głosami tymi podżegniete przyspieszyły kroku – ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słyszeć nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował, naprzód konia pędząc skoro¹⁷ – chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, spieszył za nim, pochylony na szyi swojego... Przebiegli tak staj¹⁸ kilkoro¹⁹, aż nie słysząc nic,

¹³ *juk* – skórzany worek służący do przewożenia bagażu na grzbiecie zwierzęcia. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *sakiew* – dziś popr. D. Im od wyrazu **sakwa**: sakw. [przypis edytorski]

¹⁵ *rozzartować* – rozgarnąć. [przypis edytorski]

¹⁶ *oba podróżni* (daw.) – dziś popr.: obaj. [przypis edytorski]

¹⁷ *skoro* – szybko. [przypis edytorski]

nie widząc pogoni – zwolnili kroku... Starszy się dopiero obejrzał na chłopca ze zbladłą twarzą, z zaciętymi ustami, z wytrzeszczonymi oczyma przylgłego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero, na polance, konia ściągnawszy starszy obejrzał się na strzałę i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bólu – wy dobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

– Pioruny by w nich biły... i burze! – zawołał warcząc rudy. – Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana²⁰... Tyś ranny w nogę, Gerda?

Chłopak, z oczyma jeszcze obłąkanymi i trwogą, milcząc na nogę skaleczoną wskazywał. Rana jego głębsza była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

– No – nic to! Jedna strzała polańska²¹! – zamruczał starszy – oni ich nie zatrują. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik niestraszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbójni... Ale może zawołać innych, narobić wrzawy... uchodzić trzeba...

Spojrzał na słońce.

– Trzymaj się konia, a puść go za mną... Spieszyc trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, póki nie dojedziemy do znajomych. Z południa²² na miejscu będziemy.

Chłopak milczał, starszy coś mruczał jeszcze, ku górze patrzył, konia sznurem ściągnął i polecieł gęstwina, nad brzegiem się ciągle trzymając, bez drogi – rzeka gościniec²³ znaczyła.

Puszcza wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz z dala na wodzie postrzegli jakby głowę ludzką z ciemnym przylgłym do niej włosiem i dwoje rąk wiosłujących około niej. Lecz gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... i wyszła znowu z głębin... na włosach czarnych dokoła opleciony był wianek z łotoci... oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej czółno maleńkie jak łupinka ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad nim białą chustę widać było... Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenka jak wąż wsunęło się między trzciny, łozy, wiszary²⁴, których tylko wierzchy się chwiały... Kilka kaczek zerwało się przestraszonych, wyciągnęły szyje... sznurem leciały gdzieś dalej... plusnęły i padły²⁵.

Podróźni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej – dwa razy konie poili zmęczone i jechali dalej bez spoczynku – a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej. Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piasków zalatywał oddech gorący.

Nie zmieniała się okolica – bór ciągle szumiał nad rzeką. Gdzieniedzie w piasku między pagórkami świeciło jezioro – szerzej rozlewały się wody – to ścisnęły wśród parowu. Mieniały się²⁶ tylko drzewa, sosny i jodły, potem zielonych liści brzozy i lipy, i osiki, i dęby na pół jeszcze śpiące a głuche na wiosnę.

Gdzieniedzie żółtawą ławą leżał piasek, to kępiasta trzęsawica²⁷, którą okrążyć musieli. Przed nimi z dala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jeleni, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzyły jeszcze ciekawie i gnały dalej, znikając im z oczu. Naówczas łomot stad spłoszonych konie straszyl i pędziły żywiej, stuliwszy uszy... póki sił stało.

¹⁸ *staja* – daw. miara długości, licząca ok. 1 km. [przypis edytorski]

¹⁹ *staj kilkoro* – dziś popr.: staj kilka. [przypis edytorski]

²⁰ *bałwan* – tu: posąg pogańskiego bóstwa. [przypis edytorski]

²¹ *polański* – przym. utworzony od rzecz. **Polanie**, nazwy plemienia słowiańskiego. [przypis edytorski]

²² *z południa* – dziś: po południu. [przypis edytorski]

²³ *gościniec* – droga. [przypis redakcyjny]

²⁴ *wiszary* – rodzaj rośliny; splątane zarośla. [przypis redakcyjny]

²⁵ *padły* – tu: przepadły, zniknęły. [przypis edytorski]

²⁶ *mieniać się* (daw.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

²⁷ *trzęsawica* – trzęsawisko; teren bagnisty. [przypis edytorski]

Gerda ciągle ręką chwycił za nogę zranioną, czuł, że mu krew ciekła, jakby ciepły sznurek wijący się aż do stopy, i w skórzanym obuwiu zbierała się u nogi, czerwonymi kroplami sącząc szparami chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liśćmi, co by krew zatamowały – nie było czasu... Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki... otarł je o końską grzywę – nie troszcząc się o to. Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca do spoczynku... Lecz nierychło²⁸, nierychło zwolnili biegu.

Tu rzeka, płynąc nizinami równymi, szerzej się rozlewała wśród błot świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którym stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziora mnogie, opasane gajami... Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece. Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschnięty na znacznej przestrzeni. – Gąszcze, co go podszywały, spłonęły do szczytu, daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy z konia się zsunął, rzucił go nie patrząc i legł na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był – piersi mu się podnosiły, a że krwawymi palcami dotknął twarzy i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrawszy to chłopak, uląkł się i krzyknął.

– Co ci to, Gerda? Czyś ty mężczyzna? Czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

– Nie o moją mi strach – rzekł – choć skórznie²⁹ mam jej pełne, ale o waszą. Twarz, ojczec, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, rozśmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem, na ziemi siadłszy, nogę ranną rozzuł i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą. Stary patrzył na to obojętnym okiem.

W milczeniu dobyli potem z sakiew suszone mięso i placki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykładem zwał się też do wody... Siedli jeść w milczeniu... Konie na chudej trawie leniwie się pasły...

Z lasu wyleciała sroka... uwiesiła się na suchej gałęzi nad głową starego, pochyliła ku niemu i krzyczała... Zdawała się zagniewana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej... wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie... Nadciągnęła w pomoc wtóra³⁰ i trzecia... i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadły się przy nich... Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony, łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej, zerwały się z krzykiem... zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi... Gerda z głową zwieszoną, na rękach wsparty, nad końmi czuwał. Las milczał – niebo było czyste – owad tylko, wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku na konie siedli znowu... Stary się do chłopca zwrócił.

– O strzałach, o krwi, o niczym ani słowa tam... Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał... Niemcami oni nas tam zowią – choć my ich język rozumiemy... Słuchaj, co gadać będą, zda się to zawsze – ale udawaj, że ci ta mowa obca... Tak lepiej – milczeć.

Spojrzał nań czekając, by mu Gerda oczyma odpowiedział. Jechali dalej a dalej. Słońce już się z wolna spuszczać zaczynało ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgotniejsze otaczało ich powietrze – cień zalegał boru ściany – gdy w dali, nad zaroślami, pokazał się słup dymu siny...

Stary zobaczywszy go drgnął z radości czy niepokoju – chłopak też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

²⁸ *rychło* – szybko. [przypis edytorski]

²⁹ *skórznie* – daw. obuwie skórzane. [przypis edytorski]

³⁰ *wtóry* – drugi. [przypis edytorski]

Dokoła się las rozlegał³¹ stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwązła, płynącą ścieśnionym korytem. – W prawo otwierała się łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałup z drzewa i chrustu, opasanych tynami³² wysokimi – dobywał się ów słup siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznać można było.

U brzegu, podniesionego trochę, rzeki stały w prostokąt ściśle zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów³³ wypłukana, od słońca zwapniała czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałami dartymi drzewa, wiszarem³⁴ i gałęzmi – ściany w słupy z chrustu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb³⁵ zbudowana wznosiła się chałupa-dwór, do której szopy wkoło przytykały, z nią razem obejście tworząc, w środku którego małe znajdowało się podwórze.

Dojeżdżając, rudy podróżny zwolnił koniowi biegu – oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbłąkanym tu od wieków kamieniu, ujrzał siedzącego starca, który niepostrzeżony od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda piersi mu osłaniała. Biały wysoki kij trzymał w ręku. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby, ni broni. U nóg jego dwa psy leżały do wilków podobne – zaczajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodące za podróżnymi... Drgały leżąc... i czekając, kiedy się rzucą.

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała, ze skórą jakby splekaną, tak ją fałdy i marszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwymi dwa krzaki bujnych brwi sterczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było spod koszuli, jak twarz pokrajaną, brunatną – niby węże sine oplatały żyły pod skórą nabrzmiałe.

W chwili gdy podróżny starca zobaczył, ten właśnie na psy zawołał groźnie, ręką im wskazując w tył, za siebie, a kij podnosząc do góry. Podróżni stanęli... rozglądając się ciekawie.

– Pokłon wam, stary Wiszu... – rzekł z konia nie zsiadając podróżny, uchyliwszy tylko głowę.
– Pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, bo by nas porozdzierały, a my starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi – a nie wrogowie.

Słowa te powoli wyrzekł starszy łamaną mową Serbów nadłabańskich – usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzył, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźnie, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczyrzyły patrząc na przybyszów i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić. – Gospodarz huknął w dłoń... Na głos ten zza tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który rozkaz zrozumiałwszy psy zawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota... Słychać je było szczekające i wyjące w szopie.

– Zdrów bywaj, Hengo. Cóżście to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? – rzekł gospodarz.

Rudy powoli z konia zlązłszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał – zbliżał się z wolna do starego.

³¹ rozlegać się – tu: rozciągać się. [przypis edytorski]

³² tyna a. tyn (daw.) – ogrodzenie drewniane, z gałęzi a. belek. [przypis edytorski]

³³ od deszczów wypłukana – dziś: przez deszcze wypłukana. [przypis edytorski]

³⁴ wiszar – kożuch roślin (czyli **pło**), trzciny i paproci, porastających torfowisko położone na stromym zboczu; torfowisko wiszące. [przypis edytorski]

³⁵ w zrąb – daw. technika wznoszenia zabudowań polegająca na wypełnianiu drzewem lub innymi materiałami ustawionego uprzednio szkieletu z potężnych belek. [przypis edytorski]

– Ha! po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć, jak tam gdzie ludzie żyją – począł mówić – przy tym też jakaś zamiana zrobi się może. Lepiej w spokoju mieniać³⁶ czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojnie, a z życiem razem wydzierać. Ja – wy wiecie – człowiek spokojny, zaopatruję komu czego trzeba... aby żyć...

Stary się czegoś zadumał.

– Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie zwykli bardzo do rzeczy, które wozicie, swoim się radzi obchodzić... Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzał stary na ziemię i znowu się w sobie zadumał.

– Zda się to przecie, co ja wożę – mówił powoli Hengo. – A skąd byście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili... Do Winedy³⁷ daleko...

– Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć – rzekł stary Wisz wdychając. – Był czas, że się ludzie tym obchodzili i dobrze im z tym było... Jakeście wy a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarenek świecących na szyję i iglic gładkich, i guzów, i wszystkich tych zabawek... bez których teraz żadna nie stąpi. Nic by to nie było – ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię niż na przybyłego kupca – ale wy... wy dróg się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... i tak samo przyjąć może napaść, jak przyszły świecidła.

Hengo po kryjomu błyskiem oczu bystrym zmierzył starego Wisza i rozśmiał się.

– Próżna to obawa – rzekł. – Nikt o napaściach nie myśli... Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz... Żonę miałem z waszej krwi, serbską córkę... a z niej oto tego chłopca, który choć języka waszego nie umie – przecie w nim trocha tamtej krwi zostało.

Wisz, który na kamieniu siadł, a na leżący naprzeciw drugi wskazał Hendze – pokiwał tylko głową.

– Żonę mieliście Serbkę znad Łaby – odezwał się – mówiliście mi o tym. Ale jakeście do niej przyszli³⁸? Hę? Pewnie nie po jej woli?

Roześmiał się Hengo.

– Starzy jesteście – odparł – wam tego mówić nie trzeba. A gdzież to na świecie niewiast się o ich wolę pytają? Gdzie się inaczej żonę bierze jak ręką zbrojną? Tak jest u was, u nas i na całym świecie... Bo one woli nie mają.

– Nie wszędzie – wtrącił stary. – Młodym woli nie dają, a stare u nas szanują. Choć im rozumu odmawiają, przecie duchy przez nie mówią i wiedzą one więcej niż wy... te – więdźmy³⁹ nasze...

Potrząsnął głową; milczeli chwilę.

– Na noc was o gościnę proszę – odezwał się Hengo. – Co mam z sobą w węzełkach, pokażę... Zechcecie co wziąć? dobrze – a nie będzie zgody? nie pogniwamy się o to.

– O gościnę prosić nie trzeba – zawołał Wisz wstając. – Kto raz spał pod dachem naszym, zawsze ma pod nim spocząć prawo. My wam radzi. Kołacz⁴⁰ i piwo, i mięso się znajdzie; baby strawę wieczorną już warzą. Chodźcie ze mną.

Wisz wstał z kamienia i przodem go wiodąc, ku wrotom się skierował.

³⁶ *mieniać* (daw.) – zamieniać. [przypis edytorski]

³⁷ *Wineda* – na pół legendarne słowiańskie miasto u ujścia Odry, mające być ważnym ośrodkiem handlowym. [przypis edytorski]

³⁸ *przysięć do czegoś* (daw.) – zdobyć coś, zyskać; tu: **jakeście do niej przyszli**: jak ją dostaliście. [przypis edytorski]

³⁹ *więdźma* – tu: kobieta doświadczona, znająca życie; od **wiedzieć**: ta, która wie. [przypis edytorski]

⁴⁰ *kołacz* – bułka pszenna, białe, delikatne, jedzone często tylko od święta pieczywo. [przypis redakcyjny]

II

Gdy stary na kamieniu siedząc rozmawiał z przybylcem z tej ziemi, którą krajem „niemych”, języka narodu nieznaną zwano – zza tynu⁴¹ i zagród głów ciekawych zaczęło się ukazywać mnóstwo.

Rzadkością to było, ażeby w taką lasów głębinę i puszczy wewnątrz docisnąć się śmiały obcy człowiek. Więc gdy się ukazali ludzie i konie nieznanne, a parobczak począł psy zamykać – co żyło w zagrodzie, choć z dala i przez tynu wierzchołki, przez płotów szpary, biegło się dziwić obcemu.

Widać było białe chusty niewiast zameżnych, włosy dziewcząt z wiankami zielonymi, głowy mężczyzn z długimi włosy i postrzyżone parobków, i dziecinne oczy przelekle spośród gęstych kudełków, którymi się im czoła jeżyły. Podnosiły się one nagle i niknęły, ukazywały i pierzchały... Stare nawet baby drząc wyglądały zza płota, a że się obcego lękały, rwały trawę i ziemię rzucając je na wiatr i pluły przed się, aby im jakiego nie rzucił czar.

Stara Wiszyna, a imię jej było Jaga – zobaczywszy, że się wiodą ku wrotom z gościem rudym, wystąpiła, usta zakrywając fartuchem, naprzeciw mężowi, dając mu gwałtowne znaki, aby z nią pomówił na osobności. Już się do wrót zbliżali, które im otwierać miano, gdy im zastąpiła drogę.

– Po co tu obcego, Niemca wiedziecie? – szepnęła wylękła. – Możnaż to wiedzieć, co on z sobą niesie? Jakie on uroki rzucić może?

– Ten ci to sam, Hengo znad Łaby, co to naszyjniki przywoził i szpilki, i noże... Przecie się nam nic nie stało... Nie ma się go co obawiać, bo kto za zyskiem goni, temu czary nie w głowie.

– Źle mówicie, stary mój – odparła Wiszowa. – Gorszi to ludzie od tych, co z nożami i maczugami napadają. Ano wola twoja, nie moja...

I szybko ustąpiła mruczając, nie oglądając się już za siebie, aż weszła do dworu wewnątrz zagrody. A że na inne niewiasty w podwórku po kątach poprzytulane skinęła, pierzchnęły wszystkie, chowając się, gdzie która mogła. Parobków tylko kilku i dwu synów gospodarza zostało.

Hengo wszedł rozglądając się trwożliwie, choć męstwem nadrabiał.

Chłopak jego z konia nie złącząc z nim wjechał w podwórze. Ludzie wszyscy stali, patrząc na nich ciekawie i szemrząc⁴² między sobą.

Wisz prowadził do świetlicy.

Chata w zrąb na mech budowana, stara – w pośrodku się wznosiła, wyżej nad inne szopy – drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale obyczajem starym bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano⁴³. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok⁴⁴ w niej ubity gładko, posypany był zielem świeżym, w głębi ognisko z kamieni stało, na którym nigdy ogień nie gasnął. Dym się dobywał z niego przez nieszczelny dach ku górze⁴⁵. Ściany i belki, i wszystko szkliło się od niego czarno. – Dokoła przy ścianach ławy na pniach były przymocowane... W rogu stał duży stół, a za nim dzieża⁴⁶ do mieszania chleba, białym płótnem okryta...

Nad nią wisały wianki już poschłe i wiązki różnego ziela.

Na stole, ręcznikiem szytym zasłanym, chleb też nadkrojony leżał i nóż przy nim mały. U drzwi na ławie stał ceber⁴⁷ z wodą i czerpakiem. W kącie, w głębi widać było żarna⁴⁸ małe i kilka bodni⁴⁹ chustami poosłanianych.

⁴¹ tyn – płot z gałęzi a. belek. [przypis redakcyjny]

⁴² szemrać – rozmawiać półgłosem, szeptać. [przypis edytorski]

⁴³ zawierać – tu: zamykać. [przypis edytorski]

⁴⁴ tok – podłoga z ubitej gliny; klepisko. [przypis edytorski]

⁴⁵ dym się dobywał (...) przez nieszczelny dach – jest to opis tzw. kurnej chaty. [przypis edytorski]

⁴⁶ dzieża – drewniane naczynie do rozczyniania mąki. [przypis redakcyjny]

⁴⁷ ceber – duże naczynie wykonane z drewnianych deszczulek ułożonych pionowo jedna obok drugiej i spiętych razem dookoła obręczami; w dwóch dłuższych, przeciwległych deszczulkach znajdowały się otwory, przez które przekładano drąg, dzięki czemu

Niewielkie okno zasuwane wewnątrz okiennicą stało teraz otworem, tyle światła wpuszczając, ile go do rozpatrzenia się w izbie było potrzeba. Gdy Wisz i Hengo przestąpili próg, stary podał rękę gościowi i pokłonił mu się mówiąc, a zarazem wskazując.

– Oto chleb, oto woda, oto ogień i ława – jedzcie, pijcie, ogrzejcie się, spocznicie i niech dobre duchy będą z wami.

Hengo się niezgrabnie pochylił.

– Błogosławieństwo temu domowi! – odezwał się krztusząc. – Niech go choroba omija i smutek.

To mówiąc na ławie przysiadł, a Wisz ukroiwszy chleba kawałek rozłamał go z nim i do ust podnosząc zjadł, co też i obcy uczynił.

Trwało to chwilę... gość już był uroczyście przyjęty i pozyskał prawa pewne. Niewiasty się nie ukazywały, ale że na cudzoziemca przez szpary patrzeć musiały, znać było z tego, że szepty i stłumione śmiechy dolatywały do uszu jego.

– Teraz – odezwał się Hengo po chwili – kiedyście mnie przyjęli w gościnę, póki jeszcze dzień jasny, pokażę wam, co wiozę z sobą... Niech oczy widzą, że zwodnictwa⁵⁰ nie ma... a jest popatrzeć na co!

Stary nic nie mówił, ruszył się tedy ku drzwiom; jeden z czeladzi do szopy go poprowadził, gdzie już konie z chłopcem stały.

Gerda spoczywał na drzewie siadłszy, ciekawie się rozglądając i przysłuchując... Sakwy przy nim na ziemi leżały. Hengo ujął z nich dwie i z taką siłą i zręcznością zarzucił je sobie na ramiona, jakby unikał pomocy obcej lub chciał się popisać ze zręcznością. Przez podwórze też, niosąc je, umyślnie zdawał się stąpać lekko i zwinnie, jakby wcale obarczony nie był. Pochyliwszy się nieco we drzwiach, wszedł do dworu i tu, przy okienku, około ławy szerokiej sznury rozplątywać począł.

Chłopcy domowi ciekawym go otoczyli kołem. Z wielką wprawą i zręcznością Niemiec sakwy otworzył, pomyślał chwilę i obejrzawszy się ku staremu, zaprosił go ku sobie.

– Ale, cóż to?... Wy sami tylko – odezwał się. – A niewiastom waszym ani nawet oczu nacieszyć nie dozwolicie? Jam już człek niemłody, mnie też ani się wstydzić, ani lękać nie macie powodu.

Wisz zawahał się nieco, potem ręką dał znak i sam podszedł ku drzwiom bocznej komory. Tu stara Jaga na straży stała, drzwi sobą zapierając, ale nie pomogły groźby jej i obawy; gdy stary gospodarz dał swobodę, niewiastki i dziewczęta tłumnie wpadły do izby. Pędziła je ciekawość, a strach hamował, i zaledwie wparły się do świetlicy wąskimi drzwiami, poczęły nazad uciekać. Pierwsza, co rudego Niemca oczy spotkała, krzyknęła i cofnęła się; za nią jak pierzchliwe stado pobiegły inne. Śmiechy, szepty i łajania Jagi razem zmieszane słyszeć się dały.

Hengo tymczasem klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego, ukradkiem ku drzwiom spoglądając. Oczy jego tam i sam ciekawie biegały, choć udawał, że tylko towarem swym jest zajęty. Lękając się i pragnąc, walcząc ze strachem i ciekawością, dziewczęta, jak woda na jeziorze, to się ode drzwi na izbę posuwały, to cofały nagle, jakby do komory nazad uciekać chciały. Niemiec, którego bystre oczy najwięcej siały trwogi, coraz mniej na pozór zważał, co się tam za nim działo, niby nie widział, niby się nie zajmował niczym, tylko towarem, który na ławie rozkładał.

A było go pod dostatek, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszcu jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy błyszczące, inne popłatane były jak łodygi kwiatów, gdy zwiedną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszane blaszkami, kółkami i

naczynie mogły nieść dwie osoby; w cebrach noszono najczęściej wodę. [przypis edytorski]

⁴⁸ *żarna* – przyrząd do ręcznego mielenia zboża, złożony z dwóch kamieni: dolnego, nieruchomego, często wgłębionego dla pomieszczenia ziarna oraz górnego, ruchomego, służącego do miażdżenia ziarna na mąkę. [przypis edytorski]

⁴⁹ *bodnia* – duża drewniana beczka; od jej nazwy pochodzi określenie zawodu osoby zajmującej się wyrobem takich i podobnych naczyń, **bednarza**. [przypis redakcyjny]

⁵⁰ *zwodnictwo* – oszustwo. [przypis edytorski]

dzwoneczkami. Hengo je sobie do szyi przykładał, nic nie mówiąc, a pokazując, jak się na suknie bogato i pięknie wydawały.

Jedne naszyjniki plecione były jak dziewcząt kosy⁵¹, inne gładkie, z mocnego kruszcu, szyi od pocisku i strzały bronić mogły.

Na długim sznurze cała kopa⁵² może kolców⁵³ kruszczowych wisiała, nanizanych jak obwarzanki, które na rękach noszono. Były większe i mniejsze, i takie, co wężem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły. Drugie, dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze były i grubsze. Pierścieni też miał Hengo do wyboru bogactwo wielkie, kowanych⁵⁴ i plecionych, wyrzynanych mądrze i ozdobnie.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki długie, noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgi, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogła.

Te gdy na ławę wykładać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu, z pochwy skórzanej wydobywszy go, podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosaćca⁵⁵, u pięści piękną rękojeścią opatrzony.

Gospodarz, w prawą go rękę ujawszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

– Lepsze to – zawołał śmiejąc się Hengo – od waszych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowieka, czy zwierzę dzikie, byle prawica silna – zmoże; a doma⁵⁶ też tym wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli, jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Hengo ostrożnie zwrócił na nie oczy. Wszystkie odziane były w bieli; przecież wśród czeladzi i służby rozeznac było łatwo między nimi dwie hoże niewiastki⁵⁷ gospodarza i dwie córki jego w zielonych wiankach, z kosami⁵⁸ długimi. Grubszym płótnem okryta czeladź z tyłu się trzymała.

Z dwojga dziewcząt jedna, ta, która najbliżej stała, piękną była tak, że i między najcudniejszymi mogła otrzymać pierwszeństwo.

Lice też miała bielsze i mniej opalone; znać może więcej siedząc za tkackimi krosnami niż po polu biegając. Biała i rumiana, z usty⁵⁹ różowymi, wielkie oczy szafirowe wlepiła z kolei w pierścienie, to w cudzoziemca, to nimi wodziła po siostrach i braciach.

Lecz wzrok się jej nie palił do tych błyskotek. Ręce trzymała na piersiach złożone, a śmielej rozglądała się niż towarzyszki. Na białej koszuli jej spływał sznur nieforemnych obłamów bursztynu, do których niebieskie i czerwone ziarna się mieszały. Na głowie ruciany wianuszek⁶⁰ świeży zieleniał wesoło. Twarze innych śmiały się dziecinnie, jej lice smutno i poważnie patrzyło. Między wszystkimi zdawała się panią.

Hengo parę razy spojrzął ku niej; dziewczę zarumienione cofnęło się nieco; lecz wnet, odzyskawszy śmiałość, na pierwsze miejsce wróciło. Niemiec wziął nieznacznie z ławy jeden z pierścieni i na palcu go potrzymawszy przeciw oknu, wyciągnął ku dziewczynie.

⁵¹ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis redakcyjny]

⁵² *kopa* – daw. jednostka obrachunkowa, 60 sztuk (5 tuzinów). [przypis edytorski]

⁵³ *kolce* – tu: kółko; por. kolczuga: pancerz z drobnych, splecionych z sobą kółek. [przypis edytorski]

⁵⁴ *kowany* – kuty. [przypis edytorski]

⁵⁵ *kosaciec* – irys. [przypis edytorski]

⁵⁶ *doma* – w domu. [przypis redakcyjny]

⁵⁷ *niewiastka* (daw.) – synowa; nazwę tę tłumaczy się tak, że była to osoba wchodząca do rodziny, o której się nic nie wiedziało. [przypis edytorski]

⁵⁸ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

⁵⁹ *usty* – dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

⁶⁰ *ruciany wianuszek* – wianuszek z ruty, rośliny o drobnych żółtych kwiatach, będącej symbolem panieństwa; *ruta* – znana jest od starożytności jako zioło lecznicze, służące także w kuchni do nacierania mięs w celu zachowania ich świeżości; daw. wierzono również, że ruta chroni przed złym urokiem. [przypis edytorski]

– Niech to będzie mój gościniec⁶¹ za gościnę – rzekł podając go pięknej córce Wisza, która zmieszana, dumnie spoglądając cofnęła się i potrząsnęła głową.

– Przyjmijcie go, on wam szczęście przyniesie – rzekł Niemiec.

Nie mówiąc nic, nie posuwając ręki dziewczyna cofnęła się powoli. Ojciec na nią spojrzął, potrząsała⁶² głową i skryła się za inne. Hengo więc podał go drugiej siostrze, która zapłonawszy mocno rękę wyciągnęła fartuszką okrytą i podarek z radością przyjęła. Wnet bratowe i czeladź skupiły się około niej, aby to cudo oglądać. Szybko pobiegły z nim do komory... do matki... Słychać było szeptanie długie, jakby gniewne... a po chwili wyszła obdarowana, w końcu fartuszek niosąc zawinięty kawałek bursztynu ciemnego. Spojrzała na ojca, który głową skinął i nic nie mówiąc, na ławie go przed Niemcem położyła.

– Weź to! – rzekł Wisz. – Nam się za gościnę podarków brać nie godzi.

Z uśmiechem Hengo zabrał bursztyn, obejrzał go i wpuścił do worka, który miał pod suknią. Nim to jednak uczynił, splunął nań nieznacznie, aby czary odpędzić.

Wisz zamyślony stał, na kiju się oparłszy, nóż obejrzany położył i milczał posepnie... Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekierki i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że się im tych skarbów chciało – ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał – a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał... Hengo, co miał pod ręką rozłożywszy, patrzył zwyczajnie po otaczających.

Niewiasty wróciły, parobczaki stały... Milczenie panowało w izbie: wtem oczy starego padły na coś leżącego wśród innych ozdób na ławie, czego znać nie widział w życiu. Był to świecący krzyż z uszkiem... Do noszenia na szyi. Błyszczał tak jakoś, że oczy wszystkich zwrócił na siebie...

– A to co jest? – zapytał stary, wskazując...

Hengo zdaje się, że dopiero teraz postrzegł, iż go wydobył, i pochwycił skwapliwie.

– A! to – zawołał zmieszany – to jest znak... Dla ludzi innej wiary niż wasza... który im szczęście przynosi...

– Namże on by nie przyniósł szczęścia? – zapytał Wisz.

Hengo zamilkł i schował go do worka... Nastąpiła znowu chwila milczenia. To schowane tak szybko godło tajemnicze obudzało ciekawość, lecz Niemiec już się z nim ukrył.

– Trudno się to oprzeć – odezwał się gospodarz. – Kiedy samo co pod dach przychodzi, a do życia pomoc może. Za dawnych czasów, ledwie u księdzów⁶³ i żupanów⁶⁴ coś podobnego widzieć było można, teraz i my kmiecie ważyć się na to musimy. Nie wyjdzie z domu dziewczka, żeby jej do wiana⁶⁵ nie dać kolców i szpilek.

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na cicho... Wyszło ich zaraz dwu z izby. Wisz na ławie siadł i po jednym odkładać począł, co dla siebie i swoich chciał zatrzymać – wybrał piękny miecz liściasty, siekierkę kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami... myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Wtem Hengo zdjął z ławy dwa chrześzczące naramienniki i podniósł je do góry.

– Staremu Wiszowi by się to zdało – zawołał – i przystało.

– Po co? – rzekł gospodarz. – Chyba, aby mi synowie włożyli do mogiły... Na wojnę iść już nie myślę, na to są chłopcy dorosłe⁶⁶ – a doma – co mi po tym?

⁶¹ *gościniec* – podarunek dawany w podziękę za gościnę. [przypis edytorski]

⁶² *potrząsała* – dziś popr. potrząsnęła a. potrząsała. [przypis edytorski]

⁶³ *ksiądz* (starop.) – książę. [przypis edytorski]

⁶⁴ *żupan* – naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie Zach.) komesa. [przypis redakcyjny]

⁶⁵ *wiano* – posag. [przypis redakcyjny]

⁶⁶ *chłopcy dorosłe* (daw. forma) – dziś: chłopcy dorośli. [przypis edytorski]

– Rzekliście do mogiły – odezwał się Hengo. – Niech was bogowie długo chowają – ano i do grobu to wziąć nie szkodzi... Wszak ci u was zwyczajem, że na stos się ubiera i zbroi, jak takiemu bogatemu kmieciowi przystało.

Stary ręką zamachnął w powietrzu.

– Co mi tam! – rzekł. – Chcieć i brać łatwo, ale co dać za to? Nie bardzośmy zapaśni⁶⁷.

– Juźci choć bursztyn i skóry macie, bo wam tu do morza bliżej, a i w ziemi go tu kopiecie...

Wisł patrzył na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się też wkrótce oba⁶⁸, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk spory skór różnych, powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi, Niemiec chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczały. Wydobywał po jednym⁶⁹ bryły mułem i ziemią okryte, gdzieś tam jasnymi obłamy połyskujące... W tych zdawał się świecić, jakby zamknięty płyn jakiś, który stęzał i zmarzył na kamień. Skóry też zwierza zabitego zimą, włosom świeciły lśniącym, a gdy Niemiec palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich sierści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął, milczący, bez słowa... Hengo odkładał, co mieć pragnął, stary głową trząsał i odrzucał... Razy kilka tak liczono skóry i to, co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano.

Wisł, to Niemiec trzęśli głową. Jeden to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi... Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielone długimi, w ciągu których umowa zerwaną się zdawała. Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczynali. Ociągnano się z tym jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawartą została. Wisł zgarnął licząc swój nabytek i natychmiast rozdzielać go począł, wśród powszechnych oznak radości. Ścisłano go za kolana. Dwór cały odzywał się wykrzykami... Niemiec wiązał skóry i pakował bursztyny.

Pot mu ciekł z czoła, napił się wody i usiadł na ławie.

– Patrzcież no – odezwał się gospodarz. – ileśmy to wam dać musieli, a wiele⁷⁰ od was bierzemy. We dwie garście się to zmieści. Czemu wasze ma być tak drogie, a nasze tak tanie?

Hengo uśmiechać się począł.

– Naprzód – rzekł – tom ci ja niemal stawił życie⁷¹, wioząc wam tu towar do dworu. Niezdrowo to przedzierać się lasami. A to, co ja wożę, tego ziemia nie rodzi, ani ludzie robią, ale duchy po pieczarach mieszkające, które małych człowieczków mają postać... Oni aż do wnętrzości ziemi za tym kruszcem wdzierać się muszą. Taki człowiek, jak ja, wiele świata przejechać musi, zanim się do nich dostanie i cokolwiek wyprosi. Ani dzień, ani dwa, ale miesiące i lata wędrować trzeba, nim się człowiek do nich dobieje.

Życie się stawi⁷² co dzień i od dzikiego zwierza, i od obcych ludzi, którzy radzi złupić podróżnego. Choć się rzeki i góry, i parowy zna, często się zbłądzi, głodem przymrze, nie dośpi... a rad, kto wyjdzie ze skórą całą. Co za dziw, że dużo wziąć potrzeba. Wam w las pójść za zwierzem, którego u was pełno, to zabawka – bursztyn samo wyrzuca morze albo ziemia rodzi...

Wisł milczał słuchając. Parobcy i synowie rozstąpili się ku ognisku i w głąb świetlicy, każdy chwalać tym, co otrzymał. Niewiasty szepcząc kryły się w komorze i jedna tylko córka gospodarza, piękna Dziwa, w przymkniętych drzwiach wyglądała ciekawie.

Rozmawiali powoli, słuchano ich pilnie.

– A jeśli wam tak ciężko i niebezpieczno – mówił stary – po co wędrujecie? Macie swoją chatę i pole?

⁶⁷ *zapaśny* – posiadający zapasy czegoś; zasobny. [przypis edytorski]

⁶⁸ *oba* – dziś: obaj. [przypis edytorski]

⁶⁹ *po jednemu* – dziś: po jednej. [przypis edytorski]

⁷⁰ *wiele* – tu: ile. [przypis edytorski]

⁷¹ *stawić życie* – ryzykować życie. [przypis edytorski]

⁷² *życie się stawi* – życie się ryzykuje. [przypis edytorski]

Hengo brwi namarszczył.

– Dlaczego wy na łowy idziecie, choć zwierz bywa dziki? Człowiek się rodzi do swojego życia i odmienić go nie może. Nie tyle za bogactwami goni, co za dolą⁷³ swoją, która go w świat pędzi. Narody całe płynęły nieraz kędyś ze wschodu... ze starych siedzib na nowe, albo to im tam ziemi brakło? Tak i mnie duch mój włóczyć się każe.

– A dużoście już świata zjeździli? – zapytał Wisz.

Hengo się uśmiechnął.

– Tak dużo, że nie zapamiętam, z ilu rzek piłem wodę, przez wiele⁷⁴ gór wierzchołkim się przedzierał, widziałem dwa morza... a języków, którym słyszał, nie zliczę... a ludzi różnych...

– Przecież ze wszystkich narodów naszych pono najwięcej – odezwał się stary – My, Polanie, rozmówić się możemy i z tymi, co u Odry, i co nad Łabą siedzą, i z Pomorcami⁷⁵, i z Ranami⁷⁶ na Ostrowiu, i z Serby⁷⁷, i z Chrobaty⁷⁸, i Morawiany⁷⁹, i aż do Dunaju... i dalej. A któż policzy... jest nas jako gwiazd na niebie.

– Hm! – mruknął Hengo – i nas też niemało...

– A ziemi też dla wszystkich dosyć – dokończył Wisz. – Każdy u siebie doma ma, czego mu trzeba – ziemię matkę pod nogami, słonko nad głową, wodę w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milcząco.

– Tak ci jest – rzekł – przecie⁸⁰ jedni drugich nachodzą – i z głodu, i z chciwości, i dla niewolnika, gdy go zabraknie.

– Dzieje się tak u was – przerwał stary. – My wojny nie pragniemy ani w niej smakujem. Nasi bogowie pokój miłują jako my.

Niemiec się skrzywił.

– Kto wam tu co zrobi? – mruczał. – Kraj szeroki, pustynie – łatwo by wejść, ale wyniść trudno.

– Myśmy też – rzekł Wisz – od was się nauczyli bronić i wojować, bośmy tego dawniej nie znali. Prawda, że tam u zachodu wasze duchy lepszy oręż kują, ale i nasz kamień stary, i pałka niczego.

– Myśmy już o kamieniu zapomnieli – odezwał się Hengo – pogrzebaliśmy stare młoty po mogiłach i już ich prawie nie widać. Nie zdał się już teraz kamień, gdy o kruszce łatwo, a ludkowie nasi po pieczarach coraz więcej go znoszą.

– My też mamy go od morza i od lądu, z różnych stron przywożonego – ciągnął Wisz – przecie⁸¹ dzieci uczymy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie pokazali, jak obrabiać, praojcom naszym.

I każdemu do grobu wkładamy młot – siekierę bożą, kamienną, aby się u swoich bogów nią wyświadczył, kim jest i skąd idzie. Inaczej by go nie poznali. A będzie tak na wiek wieków i u wnuków naszych.

Hengo słuchał ciekawie. Wtem stary podniósł się z ławy i sięgnął ręką na półkę, ponad dzieżę chlebną, gdzie rzędem leżały młoty i siekiery kamienne, poprawiane w drzewo i powiązane mocno. Ujął ich kilka w rękę pokazując Niemcowi.

– Po dziadach, pradziadach myśmy je odziedziczyli – mówił. – Były one ofiary bogom i łby wrogom, i zwierzom rogi. Gdyby nie kamień, nie byłoby człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, żyto kamień stał na mąkę – i

⁷³ *dola* – tu: los. [przypis edytorski]

⁷⁴ *wiele* – tu: ile. [przypis edytorski]

⁷⁵ *Pomorcy* – rosyjscy osadnicy nad Morzem Białym. [przypis redakcyjny]

⁷⁶ *Ranowie* – plemię zachodniosłowiańskie, zamieszkujące wyspę Rugię. [przypis redakcyjny]

⁷⁷ *Serby* – Serbowie. [przypis redakcyjny]

⁷⁸ *Chrobatowie* – plemię słowiańskie zamieszkujące na Łysej Górze, rywalizujące z Polanami o panowanie nad krajem. [przypis redakcyjny]

⁷⁹ *Morawianie* – plemię słowiańskie zamieszkujące Morawy na terenie dzisiejszych Czech. [przypis redakcyjny]

⁸⁰ *przecie* – mimo to. [przypis edytorski]

⁸¹ *przecie* – mimo to. [przypis edytorski]

błogosławiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia, i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie pożre.

To mówiąc młoty swe z poszanowaniem na półce położył.

W ciągu rozmowy niewiasty służebne koło ogniska się kręciły rozpalając je. Przez drzwi od komory otwarte dozorowała je Jaga. Pracowały z nimi niewiastki i córki, tylko Dziwa w wianku, z założonymi rękami z dala się temu zachodowi przypatrywała. Najmłodszą była w domu, najpiękniejszą i najukochańszą, a pieśni najśliczniejsze śpiewała. Matka ją najciekawszych baśni uczyła, ojciec najstarszymi podaniami karmił. Wiedzieli wszyscy, że ją duchy nawiedzały, że we snach szeptały jej o tym, o czym nikt, ani ojciec, ani matka, ani siostry nic nie wiedziały. Kto chciał wiedzieć przyszłość, jej pytał – pomyślała, popatrzała, powiedziała. A pieśni się u niej rodziły tak jak na wiosnę nad strumieniem kwiaty. Gdy na rozstajach i u świętych źródeł ofiary składano, nikt tam nie przodował, tylko ona jedna i szanowali ją wszyscy, a z młodzieży nikt nawet spojrzeć na nią nie śmiał zuchwale. Wszyscy wiedzieli, że ją sobie duchy wybrały za oblubienicę.

Dlatego, gdy drugie siostry i bratowe same w las się iść lękały, tam gdzie duchy latają unosząc się nad strumieniami, nad jeziorami, nad górami i wąwozami – Dziwa szła śmiało, wiedząc, że się jej nic złego nie stanie, że niewidzialna ręka zwierza i wilkołaka odegna, smoka i węża nie dopuści.

U ogniska warzyła się i piekła wieczerza, a że gość był w chacie, dostatniejsza niż powszednio. Ćwierć kozłowa obracała się u ognia, w wielkim garncu warzyło mięsiwo z krupami. Jaga też zawczasu w cebrzyk drewniany utoczyć kazała piwa, jeden z chłopców przyniósł miodu, który tylko dla gości dawano. Znać było dostatek w domu, bo i nabiału nie brakło, zwierzyny, kołacza i chleba.

Wszystko to na stół zniesiono, a Wisz skinieniem gościa zaprosił; sam siadłszy w rogu, gdzie jego miejsce było. Niżej na ławach synowie siedli, a niżej jeszcze parobcy...

Dziewki i niewiasty, nie śmiejąc usiąść z mężczyznami, służyły. W milczeniu zabrano się do mięsa palcami je odrywając, tylko Hengo noża na skórzanym pasku dobywszy, dla siebie krajać je zaczął. Na ten obcy zwyczaj dziwnie patrzano, bo krom⁸² chleba dużego wszystko się palcami brało i jadło. Postawiono garnuszki i czerpaczki przed siedzącymi z wodą, piwem i miodem. Wisz zlał trochę na ziemię... Głodny podróżny raczył się i popijał do syta, a nierychło mu na myśl przyszło, iż dziecko głodne w szopie przy koniach zostawił. Szepnął więc coś staremu Wiszowi, który głową pokiwał.

– Jedzcie spokojnie – rzekł. – Nie zapomną o nim – u nas obyczaj nie tylko o panu pamiętać, ale i o sługach, a gdybyście psy mieli z sobą, i te by głodu nie zaznały. Zwierzęta też, którym bogowie mowę odjęły, kto wie, co w sobie noszą? Przecie naszą mowę rozumieją, w życiu nas strzegą, a po śmierci żałują.

Mówił to właśnie patrząc na psy swoje, które dobywszy się z zamknięcia, gdy zwierzyły wieczerzę, wcisnęły się do chaty i pod stół, kości gryząc, które im rzucano.

Słońce się miało ku zachodowi, gdy najadłszy się i napiwszy, Wisz wstał, tuż za nim wszyscy z ław ruszyli. Podniósł się i Hengo; miejsce opróżniając dla niewiast, wyszli na podwórko z chaty.

Stary, na kiju się opierając, Niemca z sobą powiodł ku rzece, dawszy mu wprzód sakwy zrzucić w szopie, bo się nazajutrz do dnia⁸³ w drogę wybierał. Siedli znowu oba na tych samych kamieniach nad wodą. W łożach śpiewały słowiki... Nad błotami zwijały się czajki krzykliwe i niespokojne, w lesie kukułka coś liczyła po jednemu, a na moczarach bąk kiedy niekiedy jak stróż na czatach – hukał... z daleka. O kilkanaście kroków od nich dwa bociany, których gniazdo na szopie widać było, wieczorną odbywały przechadzkę, dzióbiąc żabki przestraszone...

⁸² *krom* – oprócz. [przypis redakcyjny]

⁸³ *nazajutrz do dnia* (daw.) – jutro przed świtem. [przypis edytorski]

III

Pomilczawszy chwilę Wisz spojrział na Niemca.

– Dostaliście się tu szczęśliwie – a dalej? Dokąd myślicie?

– Dokąd? – z wolna powtórzył, jakby nie chcąc się z tym zdradzić, co zamierzał, Hengo. – Dokąd? Ot, sam dobrze nie wiem. Wy tu na znacznej przestrzeni sami ze swoimi siedzicie i panami jesteście... Ja, żem tu już raz się kiedyś zabłąkał, przywlokłem się i teraz. Dalej puszcza, iść choćby za rzeką obłąkać się łatwo, a na złych ludzi trafię gromadę – którzy z życiem nie puszcza. Po lada jakich chałupach w lesie tłuc się nie myślę, pożytku z tego mało... ale... toć też gdzieś, nieopodal kneź⁸⁴ wasz siedzi... Gdyby do jego grodu nad jeziorem nie było daleko... puściłbym się...

Wisz brwiami siwymi ruszył, a ręką w prawo, nie mówiąc nic, pokazał.

– Jestże ci kneź... na grodzie nad jeziorem, a do niego w dzień niespełna stanąć łatwo. Kneź, kneź! – powtórzył z przekąsem. – Ten kneź już sobie prawa do wszystkiej naszej ziemi rości, po wszech kniejach poluje, a ze swymi zbrojnymi ludźmi czyni, co chce... To srogi człek – jemu się w paszczę dostać, jak wilkowi głodnemu... Ano, i na wilki ludzie sposoby mają.

Niemiec zmilczał.

– Wasz ci to kneź, nie obcy – rzekł po chwili. – Trzeba przecie, żeby naród miał głowę i wodza – a co by począł, gdyby go wróg naszedł?

– Niech nas od tego bogi bronią – mówił stary. – My to wiemy, póty naszej woli⁸⁵, dopóki pokoju. Przyjdzie wojna, z nią iść musi niewola. A kto z wojny skorzysta? Nie my, ino kneź nasz i jego słudzy. Nam wróg chaty popali, bydło zajmie, oni niewolnika nabiorą dla siebie i łupu. Tyle z tego, że nam dzieci poginą; a kto padł w wojnie, temu i mogiły nie usypią, krucy⁸⁶ ciała rozniosą.

I westchnął.

– Pan to jest mocny, ten, co na grodzie siedzi? – spytał Hengo.

– Bogi mocniejsze od niego – mrucał Wisz – a i gromada silną bywa... Ja nie wiem więcej, dań mu dają, jaką każe – i znać go nie chcą; ani jego, ani całego ich Leszków plemienia.

– Wyście u siebie panem – dorzucił pochlebiając Hengo.

– A pewnie – rzekł Wisz. – Gdybym nim tu nie miał być, toć są jeszcze ziemie puste, poszedłbym, jak ojcowie chadzali, z moimi gdzie indziej, gdzie wojna nie dochodzi i niewola. Zaorałbym nową granicę wołami czarnymi i siadł.

Jakiś półśmieszek szyderczy Niemcowi się po ustach przesunął i dodał:

– Hej no – gdybyście mi odpowiedzieli a ukazali drogę do Gopła, a do stołba⁸⁷ kneziowego – kto wie? powłókłbym się jeszcze... zobaczyć i tego świata trochę.

Gospodarz pomyślał nieco.

– Czemu nie! Próbujcie szczęścia – rzekł. – Z waszych tam już niejeden bywał, niejednego też może znajdziecie. Kneź ma żonę z niemieckiego kraju, po niemiecku rad rządziłby nami.

Wstał stary z kamienia.

– Słońce nie zaszło jeszcze, macie dobre nogi? – zapytał. – Pójdziemy za las, na górę, skąd świata widać niemało... Stamtąd wam drogę ukażę łatwo... Chcecie za mną?

Niemiec, który łuk i procę zostawił we dworze, prawie będąc rozbrojony, zawahał się nieco.

– Tak? Z rękami gołymi? – spytał.

⁸⁴ *kneź* – książę; tytuł władcy. [przypis edytorski]

⁸⁵ *wola* – tu: wolność. [przypis edytorski]

⁸⁶ *krucy* – dziś popr. forma lm.: kruki. [przypis edytorski]

⁸⁷ *stołb* a. *stołp* (daw.) – wieża obronna, wolno stojąca, wzniesiona w obrębie murów zamku; donżon. [przypis edytorski]

– Jam tu na mojej ziemi – odparł stary obojętnie – mnie tu zwierz nawet szanuje. Innej broni nie potrzebuję – dodał, róg wyjmując z zanadrza – nad tę jedną. Gdy się głos rozejdzie po lesie, zrozumieją.

Szli więc razem. Od strumienia lekko się podnosząc ku górze, zielona łąka wiodła ich ku lasom. Stary wśród zasieków znalazł przełaz i ścieżkę. Wprędce byli już wśród ciemnej gęstwiny – a tu Wisz jak w domu, choć nigdzie śladu drogi żadnej nie było, kierował się nie patrząc prawie. Hengo drapał się za nim – milczeli idąc oba... Wzgórze, niezbyt wyniosłe, z wolna, nieznacznie wspinało się, lasem okryte. W zaroślach ptastwa mnóstwo zlatywało z gałęzi, na których się już noclegować zabierało.

Zdawały się gniewne na starego gospodarza, że ich spokój zakłócił. Mignęły sine skrzydła kraski, srocza w białej spódniczce podniosła się gderząc, podlatując, przysiadając i zrywając się przed nimi, aby ich łajać, przeprowadzając dalej. Spod drzewa, u którego czatował, mignął lis żółtym ogonem, zawinął się i znikł wsunawszy do jamy. Na gałęziach pomykały wiewiórki, ledwie dojrzone, tak zwinnie skakały z jednego wierzchołka na drugi. Stary po drodze podnosił głowę ku barciom⁸⁸, bo ich tu pełno było na drzewach, reszta pszczół spóźnionych wracała z łąk niosąc plon, cisnąc się do nich przed rosą, aby im skrzydła nie ocieżyły.

Szli tak coraz głębiej, a Niemcowi, nienawykłemu do pieszej wędrowki, za starym trudno było nadażyć. Wtem las się rozstał, polanka, trawą bujną zarosła, wierzch wzgórza okrywała. Wśród wielkiej płaskiej przestrzeni wznosiła się sypana mogiła, z której widok rozlegał się na okolicę, jak oko sięgnąć mogło. Wspaniały był i wielki... Wisz stanawszy tu i oglądając się po swej ziemi, mógł się czuć panem. Hengo, spojrzawszy na niezmierną przestrzeń u nóg swoich rozłożoną, stanął zdumiony i widocznie rozradowany. Dolina, którą mieli u stóp swoich, była w większej części lasami okrytą. Zachodzące słońce jaskrawym blaskiem ją oblewało, promienie czepiały się wierzchołków drzew gdzieniegdzie w złotych odbijających jeziorach i przeglądających między drzewami i łąkami rzek wstęgach.

Patrząc nań z góry, rzekłbyś, że cały kraj ten, cały świat zarastała puszcza jedna, szeroka jak morze i jak morskie równiny siniejąca w oddaleniu. Jak fale też kołysały się bliższych drzew wierzchołki. Wśród tej ciemnej zieleni jodeł i sosen, gdzieniegdzie młodych złocistych lip i brzoź, i majowych łąk zieloność się przebijała. Dalej ściśnięte drzewa już oku nic widzieć nie dopuszczały nad wierzchołki, nad które mało starszych samotnie strzelało ku górze. Głuchy szum zaledwie chwyciło ucho... W dwóch tylko miejscach siniego dymu słupy wznosiły się ku górze, niezgięte żadnym wiatru powiewem... Na widnokręgu pasami długimi rozścielały się do snu mgły wieczorne.

Wisz wskazał Niemcowi w prawą stronę.

– Tam... w końcu dnia z końmi waszymi dostaniecie się łatwo. Trzymajcie się ciągle rzeki, a minawszy do niej wpadające strumienie, szukajcie brodu i przejedźcie na drugą stronę.

Chciał mówić dalej, gdy ucho jego, do chwytania i rozumienia najmniejszego szelestu nawykłe – coś z dala uderzyło. Zatrzymał się, głowę spuścił i słuchał.

I Hengo też w dolinie pochwycił jakiś oddalony tętent głuchy, który się zdawał przybliżać. Wiszowi twarz się zachmurzyła, ręką pokazał na kierunek i spytał.

– Rozumiecie? A teraz – dodał – chodźmy; boję się, czyśmy wilka nie wywołali z lasu. Tętent słyszę... Jeżeli jedzie kto, to chyba kneziowscy słudzy, utrapiona zgraja, która nigdy z próżnymi nie odchodzi rękami. Smerdowie⁸⁹ jego i poślancy... Po co? Wiedzą chyba oni sami. Dokąd? Nigdzie jak do Wisza, u którego miód stary stoi...

Stary poruszył się z żywością prawie młodzieńczą i nie patrząc już prawie na Niemca posunął się też samą drogą w dół, którą na górę wchodzili. Lecz teraz pędził żywiej i przesunawszy się przez

⁸⁸ *barć* – naturalne siedlisko pszczół. [przypis edytorski]

⁸⁹ *smerda* (daw.) – służa książęcy (tu: w randze przełożonego); u Słowian: wolna ludność chłopska popadła w zależność od księcia. [przypis edytorski]

las – spoza ostatnich drzew ujrzeni rychło zieloną łąkę, a na niej brzegiem rzeki posuwających się pięciu konnych, na których Hengo ciekawe zwrócił oczy.

Przodem jechał dowódca, parami za nim czterej inni... Łatwo w pierwszym poznać było starszego, koń pod nim roślejszy i pokaźniejszy ubiór odznaczał kneziowego sługę. Był to barczysty chłop, z włosami długimi, które mu gruby kark okrywały. Na głowie miał czapkę ze sterczącym przy niej piórem białym. Odzież na nim z sukna jasnego obszycie miała czerwone, u boku miecz sterczał w pochwie, na plecach łuk nad głową się podnosił i łubiany⁹⁰ wór na strzały.

Jadący za nim w rękach trzymali toporki, zbrojni też w łuki i proce, obwieszeni sakwami... Wisz zobaczywszy jeźdźców jak noc się zachmurzył – porwał róg zza koszuli i trzy razy prędko raz po razu zatrąbił, do chaty znać oznajmując⁹¹ o nadjeżdżających.

Gdy głos ten się dał słyszeć, jezdni na koniach poruszyli się żywiej i pierwszy z nich obejrzał dokoła, szukając sprawcy... mógł już z brzegu rzeki, nad którą jechał, zobaczyć Wisza, a ten też niezwłocznie pospieszył na przełaj, ku niemiłym gościom.

– Ej! gadziny przekłete! – mrucał idąc. – Smoki nienasycone... Smerda pański! Bodaj ich razem obu pioruny ze skóry darty! – Odwrócił się do Niemca. – Wam to na rękę, bo was pewnie i wasze sakwy ze sobą chętnie zabiorą, ale mnie...

Hengo nie okazywał twarzą wcale, czy był rad lub nie spotkaniu.

– Juścić – rzekł – gdyby co złego groziło, prawa gościnności bronić mnie każą.

– Jeżeli ja sam siebie od nich obronię – mruknął Wisz. – Pięciu ich, nie tak to straszna rzecz, moi chłopcy powiązali by ich na skinienie, ale u stołba⁹² znajdzie się ich dziesięć razy tyle, gdyby się mścić chcieli.

Szli co prędzej ku zagrodzie.

Smerda kneziowski jadący przodem konia zatrzymał, starego poznawszy lub się domyślając gospodarza. On i jego towarzysze mniej się mu jednak niż Niemcowi przypatrywali. Czuli w nim obcego, a obcy dla nich zawsze był dobrym obławem...

Gdy podeszli, starzec się smerdzie pokłonił, chociaż ten mu nie myślał oddać powitania. Skłonił się i Hengo, ale mu twarz pobladła, czuł, że chciwe oczy wszystkich na niego się skierowały.

– Kogóż to z sobą prowadzicie, stary? – wołał smerda. – Obcy? Skąd?

Czterej jezdni wnet go obstąpili dokoła.

– Znad Łaby jestem, przekupień, człek spokojny, nieobcy... – rzekł, nabierając śmiałości trochę, Hengo – nieobcy, bom tu nieraz bywał z towarem... wszędy mnie swobodnie przepuszczano...

– Znamy my tych ludzi spokojnych! – krzyknął śmiejąc się smerda – Znamy... Kto wie, na co wypatrujecie drogi po kraju, szukacie brodów po rzekach, zaciosujecie znaki po drzewach... Aby potem poprowadzić...

– Spokojny człek – odezwał się Wisz powoli – dajcie mu pokój, chleb z nim łamałem.

– A mnie co do tego? – zawołał smerda gniewnie. – Kneź surowo zakazuje, aby się tu obcy po kraju nie wałęsali. – Pójdzie z nami.

– Pojadę z wami po dobrej woli, miłościwy panie – rzekł szybko Hengo – A gdy na twarz padnę przed kneziem, łaskę u niego zyszczę⁹³, bo pan jest sprawiedliwy... Jam samowtór⁹⁴ z chłopiędziem... i – cóż ja złego zrobić mogę?

⁹⁰ *lubiany* – wykonany z łuby, czyli tzw. dartki drzewnej; długich, cienkich pasów struganych z miękkiego drewna, służących do wyplatania koszy itp. [przypis edytorski]

⁹¹ *oznajmując* – dziś: oznajmiając. [przypis edytorski]

⁹² *u stołba* – pod wieżą, w okolicy wieży. [przypis edytorski]

⁹³ *zyszczę* (starop.) – zyskam, pozyskam. [przypis edytorski]

⁹⁴ *samowtór* (daw.) – sam z kimś, we dwóch; przysłówek oznaczający wykonywanie jakiejś czynności przez dwie osoby; *samotrzyć* – sam z dwoma towarzyszami, we trzech; *samoczwór* – sam z trzema towarzyszami, we czterech; *samopiąt* – sam z czterema towarzyszami, w pięciu; *samoszóst* – sam z pięcioma towarzyszami, w sześciu itd. [przypis edytorski]

– Związać mu ręce – krzyknął smerda – ano, zobaczmy...

Gdy to mówił, dwóch pacholców skoczyło z koni, aby rozkaz jego wykonać. Smerda skierował się ku zagrodzie.

Stali tu już parobcy i synowie, stała we drzwiach stara Jaga, z równie starą służą – żadnej z młodszych niewiast widać nie było.

Na znak dany przez ojca wszystkie się ukryły po kątach i zbiegły do lasu, aby się z obcymi ludźmi zuchwałymi nie spotykać. Wyjaśniła się⁹⁵ też twarz Wisza, gdy w podwórku ani córek, ani synowej żadnej nie zobaczył.

Smerda zlął z konia u wrót, ludzie jego także, dwu z nich poprowadziło Henga z sobą, wydrwiwając się z niego, popychając i bijąc. Ręce już miał w tył związane sznurem, którego koniec trzymał jeden z pacholców. Konie poszły do szopy, ludzie wprost kroczyli do dworu. Tu Jaga, pokłonami ich witając, zapraszała. Wisz stary szedł zamyślony i chmurny. Zaszumiało wnet w izbie, gdy obcy się do niej wcisnęli. Smerda padł na ławę, pierwsze, gospodarskie zajmując miejsce. Wołali już piwa i miodu, które zaraz niesiono, aby sobie gardła zalali. Gospodarz, nic nie mówiąc, z dała zajął miejsce na ławie.

– No, stary gospodarzu – ozwał się smerda – wy to już wiedzieć powinniście, z czym my jedziemy... Należy kneziowi dań...

– A dawnoście ją brali? – mruknął stary.

– Myślicie się rachować z nami? Kmieć z kneziem? – rozśmiał się smerda.

– Kmieć z kneziem, bo ja tu, na tej ziemi, kneziem jestem – mówił Wisz. – Ze skóry nas drzecie pod pozorem obrony.

Smerda chciał się śmiać, ale popatrzywszy na starego, rychło mu ochota odeszła, spowolniał⁹⁶ jakoś.

– Pijcie i niech wam tak będzie na zdrowie, jako życzę – dodał stary. – A potem o sprawie.

Kneziowski służa, pomyślawszy, stał się łagodniejszym, czerpakiem piwa z cebra nabrawszy, począł je chciwie żłopać. Towarzysze też jego garnuszkami czerpać jęli, aby ugasić pragnienie. Hengo związany stał u progu. Chwilę trwało przerywane chlupaniem milczenie. Smerda wąsy otarł i zwrócił się do Niemca.

– Gdzie twoje konie i sakwy?

– Znajdą się jutro razem ze mną przed kneziem – rzekł Hengo. – Proszę was, w pokoju mnie zostawcie.

– Zrobię z tobą, co chcę! – krzyknął smerda.

Wisz chciał bronić obcego, gdy Hengo z rękami związanymi, za sobą sznur wlokąc, szybko podszedł do siedzącego na ławie smerdy, przysunął mu się do ucha, zasłonił dłonią i żywo, długo coś mu szeptać począł. Z twarzy nie widać mu było przestachu... Gdy mówił, z wolna lice kneziowskiego służi mieniło się⁹⁷, marszczyło, rozjaśniało. Popatrzał z ukosa na Niemca, głową potrząsnął i rzekł do swoich ludzi:

– Rozwiązać mu ręce – pojedzie jutro z nami, na grodzie się z nim rozprawim.

Uwolniony tak cudownie od sznurów, które mu ręce krępowały, Hengo ze spuszczoną głową usiadł w kącie. Smerda, już co innego mając na myśli, zwrócił się do starej Jagi.

– Matko stara – zawołał – a gdzież to niewiastki i córki wasze? Radzi byśmy na nie popatrzeli, gładkie mają liczka.

– I dlatego wam ich nie pokażą – wtrącił gospodarz. – Co wam do nich?

A Jaga dodała:

⁹⁵ wyjaśniła się – tu: rozjaśniła się, rozpogodziła. [przypis edytorski]

⁹⁶ spowolnieć – tu: spokornieć; zachowywać się „po (według) czyjejś woli”. [przypis edytorski]

⁹⁷ mienić się (starop.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

– Nie ma ich od rana. Poszły w las wszystkie za grzybami, za rydzami, chyba i na noc nie powrócą.

– W las! – zaśmiał się smerda, któremu zawtórowały śmiechy jego towarzyszków, piwem rozochoconych. – Oj! Szkodaż to, szkoda, żeśmy ich po drodze nie spotkali. Byłoby się z kim zabawić, choćby i do jutra.

Wisz spojrzął z ukosa na mówiącego, któremu śmiech zamarł na ustach.

– Przy takiej zabawie – rzekł Wisz – jakby was ojciec i bracia zastali, moglibyście i na wieki w lesie pozostać, a nigdy z niego nie wrócić. – Wilcy z krukami tylko by o was wiedzieli.

Cicho, ponuro wymówił te słowa. Smerda je usłyszał i zachmurzył się. Drudzy znowu około kadzi z piwem chodzili i on też, milcząc, do niej powrócił. Tymczasem na dany znak synowie Wisza podeszli do rozmowy, podsunęła się i Jaga, a Wisz z wolna poszedł naprzód ku ognisku, potem od niego ku drzewom, gdzie się z wiadra wody napił. – Tu nieopodal rozwiązany siedział Hengo, gospodarz dał mu znak i wyszli razem do sieni.

Nic nie mówiąc, stary ręką ukazał Niemcowi na drzwi i wrota – dając do zrozumienia, by uchodził, lecz Niemiec – obejrzawszy się, szepnął mu do ucha:

– Ja się ich nie boję, nic mi nie zrobią – dostanę się z nimi do knezia. Towaru tylko nie wezmę z sobą wszystkiego – by darmo się nie wozić z ciężarem.

Wisz popatrzał nań zdziwiony.

– Dlaczegoż uchodzić nie chcesz? Spod mojego dachu na co ma cię spotkać nieszczęście?

Hengo uśmiechnął się chytrze, głową potrząsając.

– Nie boję się – nic mi nie zrobią... Wykupię się im, bądźcie spokojni, tylko wam jedną sakwę zostawię.

Milczeniem gospodarz zgodził się na to, a Niemiec wysunął zaraz ku szopie, skąd parobek wyniósł po chwili sakwę, którą w komorze ukryto. Hengo podziękowawszy gospodarzowi, wrócił do izby i siadł znowu w swoim kącie, nim postrzeżono, że go nie stało⁹⁸.

W izbie gwar był i śmiechy.

Smerda orzeźwiał też po piwie, ze starą babą żarty strojąc, a towarzysze mu rozgłośnym śmiechem wtórowali. Trwało to aż do nocy, wniesiono łuczywo suche, którego drzazgi między kamienie wetknięte zapalono, aby izbę oświecały.

Zobaczywszy światło, smerda się dopiero obejrzał za gospodarzem dokoła.

– Gdzież gospodarz? – zawołał.

Wisz stał u progu chaty – trąciła go Jaga, niechętnie się zawlókł do środka. Ludzie mu widocznie nie w smak byli. Zobaczywszy starca, smerda wstał, idąc ku niemu, skinął i na podwórze z sobą prowadził.

– Od knezia jadę do was i do drugich kmieci, i żupanów – rzekł. – Kneź was pozdrawia uprzejmie.

Stary skłonił głowę i po siwych włosach powiódł zafrasowaną dłonią.

– Pozdrowienie łaskawe – rzekł – ano, na tym nie koniec. Kiedy zdrowia życzy, pewnie czego żąda, inaczej by o kmieciu nie wspomniał.

Smerda brwiami ruszył.

– Ludzi nam bardzo, bardzo brak – rzekł. – Jednego ze swoich dać musicie do kneziowskiej drużyny. Wszak ci to ona was i ziemi broni.

– Cóż to? Na wojnę myślicie? – rzekł Wisz.

– My jej nie wydamy⁹⁹ nikomu, ale na grodzie ludzie muszą być pogotowiu, do obrony – mówił smerda. – Dwóch nam zmarło z zarazy, jednego zwier rozdarł w lesie, a kneź też ubił jednego, trzeba

⁹⁸ że go nie stało (daw.) – że go brakowało. [przypis edytorski]

⁹⁹ wydać wojnę – wypowiedzieć komuś, wszcząć z kimś wojnę. [przypis edytorski]

nam ludzi... U nas się źle nie dzieje... Głodu nie mają, jedzą razem ze psy kneziowskimi, a po całych dniach na brzuchach się wylegają. I piwa się im nie skapi. Przyjdzie wyprawa, z łupu się co dostanie.

– Albo się pójdzie w niewolę – dodał Wisz.

– Jeżeli nie dwu, jednego musicie dać – zakończył smerda.

– A jak żadnego? – zapytał Wisz.

Smerda się zamyślił.

– To was na sznurze powlokę do grodu – rzekł smerda.

– Chociem kmieć wolny? – spytał gospodarz spokojnie.

– Mnie co do tego! Kneź przykazał.

– Tak, tak! – zawołał Wisz zadumany patrząc w ziemię. – Wziął się obyczaj taki. Patrzcie tylko, żeby was kiedy kmiecie na postronkach nie ciągnęli, jak się im naprzykrzy.

Zmilczał posłaniec.

– Nie przeciwie się¹⁰⁰ – szepnął po cichu. – Kneź tymi dniami zły bardzo... Przez sen, gdy w podsieni zadrzemie, zgrzyta zębami i jak wilk człapie. Na kmieciów się odgraża bardzo. Zamiast dwu, dajcie mi jednego człowieka – i skórę na kozuch, bo mi się mój dobry podarł na usługach.

Zamyślony stał gospodarz długo w podwórzu, skinął potem na smerdę, by z nim szedł, wrócili do chaty. Na ławie siadł stary, kij między nogi wziąwszy, wsparł ręce na nim i po chłopcach swoich poglądał, jakby szukał ofiary.

– Hej, Sambor – odezwał się do stojącego z tyłu za gromadką, śmiejącego się z dworakami chłopaka. – Sambor, chodź tu!

Przywołany tym imieniem parobczak wyprostował się i podszedł.

– Tobie w polu nie bardzo się chce robić, a koło domu też nie lepiej – rzekł do niego. – Więcej leżysz i śpiewasz, niż pracujesz... Ty byś się zdał do lekkiego chleba, przypasawszy mieczyk drugich ganiać i piórko za czapkę wetknąwszy, popisywać się urodą. Ty na kneziowski dwór pójdiesz z ochotą?

Nagle zagadnięty parobczak, choć mu się niedawno twarz śmiała, posmutniał nagle. Oczyma niespokojnymi potoczył dokoła – zobaczył, jak mu się smerda przypatrywał ciekawie, ogarnęła go trwoga i padł przed starym na kolana.

– Ej! ojczy panie, po cóż mnie w niewolę dajecie? – krzyknął.

– Co za niewola – przerwał smerda. – Będiesz wojakiem. U knezia lepiej niż tu, a jak się spodobaś panu, kto wie, co będzie z ciebie.

Wisz po schylonej jego głowie ręką pogładził.

– Musi jeden iść za wszystkich... – rzekł. – Na ciebie kolej, Sambor.

Stara Jaga, opodal stojąca, ręce załamała, bo choć parobczak synem jej nie był, ale się w chacie wychował i jak dziecko własne go kochano.

Drudzy parobcy tym oznajmieniem strwożeni cofnęli się w głąb – opuściła ich wesołość. A tuż i smerda dłoń szeroką na ramię Samborowi położył, jakby go brał w posiadanie.

– Pójdiesz z nami – rzekł.

Podniósłszy oczy parobczak spotkał wejrzenie Wisza, skierowane ku niemu – które doń coś mówiło, coś, co oni tylko dwaj rozumieli.

Sambor się uspokoił i wstał, smutny jeszcze, ale milczący, nie narzekając już na losy swoje.

Kto by się wsłuchał był w głosy, które wewnątrz chaty się ozwały, gdy Jaga wyszła, załamawszy ręce – domyśliłby się, że tam niewiasty za Samborem zawodzić musiały. Nikt jednak nie śmiał ozwać się głośniej, aby obcy nie posłyszeli głosów niewieścich i nie domyślili, że się od nich pochowały¹⁰¹. Dano jeść przybyłemu smerdzie i ludziom jego, a piwo z cebrów dokończywszy wszyscy poszli do

¹⁰⁰ przeciwie się (daw.) – sprzeciwiać się. [przypis edytorski]

¹⁰¹ że się od nich pochowały – że się przed nimi pochowały. [przypis edytorski]

spoczynku. Wisz ich zaprowadził do obszernej szopy, na siano. Obok niej stały konie niemieckie. Niemca też puszczono, nie bardzo się troszcząc o niego – i szedł przy nich nocować.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.